№ 15. Rok XXXIII.



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:	Adres Redakcyi i Administracyi:	PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie Kwartalnie. . . . . . rs. 1. Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10. Na prowincyi Kwartalnie. . . . . . rs. 1 kop. 25.	*Chmielna Nr 26.* Warszawa, dnia 30 Marca (11 Kwietnia) 1891 roku.	We Lwowie i Krakowie Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30. W Poznaniu Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Na wyżynach (wiersz). — Z tygodnia. — Rogata dusza, powieść Juliana Łętowskiego (dalszy ciąg). — Odczyty. — Odwrotna strona medalu. — Nagoda, Za czarne oczy, nowela (dalszy ciąg). — Zakład Świętej Marty. — Piśmiennictwo. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. **W dodatku:** Wprowadzona w wielki świat, powieść przez Hamiltona Aïde, przekład K. P. (arkusz 1).

NA WYŻYNACH.

Tu piękno! tu rozkosz, tu chętnie zostanę,
By duszą spragnioną pić blaski świetlane,
Tu myśl ma, w uroki przyrody wpatrzona,
Do słońca jasnego wyciąga ramiona...

* * *

O! dosyć już dla mnie tych mętów i kału,
Co kropla po kropli spływały pomału
Do serca, aż ono, tym kałem zbrukane,
W goryczy palącej jątrzyło swą ranę...

* * *

Uderzę znów w struny swej lutni młodzieńczej,
Niech pieśnią serdeczną radośnie zadźwięczy
I dawne... niknące już echa przywoła!

* * *

Niech grom mnie obali!... niech płomień ogarnie!
O! lepiej tu zginąć, niż pełzać tam marnie
I wiecznie w kałuży ocierać brud z czoła...

* * *

Nie wrócę w te życia niziny i mroki,
Gdzie blaski słoneczne ciemnieją i gasną,
Gdzie dusza zapada w sen smutku głęboki,
Gdzie duszno, gdzie szaro, do lotu tak ciasno.

* * *

I z chmur tych krainy potężnej, wysokiej,
Zachwytem natchniony, zapałem zuchwały,
Ja z wami pobiegnę, o górskie potoki,
Z tym szumem, z tą siłą, co łamie moc skały.

* * *

A później powrócę na skrzydłach sokoła,
Gdzie groźne olbrzymy chowają swe czoła,
Gdzie burza pioruny i gromy swe mieści.

Antoni Pilecki.

Z TYGODNIA

Ruch świąteczny przebrzmiał i usnął. Zimno i niepogoda odjęły mu bardzo wiele z jego wesołej uroczystości. Przedsiębiorcy igrzysk na Ujazdowie uczuli to dotkliwie i wyrodziła się pomiędzy nimi ważna kwestya: ażali warto będzie na przyszłość urządzać dla tłumów to, co im już zanadto widocznie spowszedniało i od czego odwracają się lekceważąco?

Zdarzyło mi się niedawno słyszeć i inną kwestyą, zestosunkowaną również z obchodem świątecznym. Pewna wiejska pani, sama gosposia co się zowie i mistrzyni w przyrządzaniu święconego, zaręczała, że gdyby mieszkała w mieście, gdzie wszystkiego po sklepach dostać można, aniby słyszeć chciała o wędzeniu, peklowaniu, pieczeniu i gotowaniu.

Podobno też wiele bardzo Warszawianek idzie za takiem zdaniem, ale żeby nie odstępować od tradycyi przekazanej przez babki i prababki, kupne przysmaki podają za arcydzieła roboty własnej. Gość dyskretny udaje, że się na podstępie nie poznał, je i chwali, a pani X. lub Z. przyjmuje hymny pochwalne tak szczerze i prostodusznie, że kto podejrzliwym nie jest, niczego się nie domyśli.

Onego czasu działo się tak, iż święta wielkanocne były, ze swoim jedzeniowym obchodem, czemś wro-

dzaju egzaminu lub popisu, w którym panie i gospodynie domów składały dowody swej umiejętności, skrzętności i pomysłowości. Były to popisy nieraz bardzo kosztowne, kłopotliwe, a często i opłakane łzami, opłacone gorączką zawodu. Do wielkanocnych przygotowań powoływano rodzinę całą, od głowy domu począwszy, do jego najdrobniejszych paluszków. Krętanina trwała przez dni kilka, poczynała się ze świtem, kończyła z mrokiem, ba! z nocą nawet! A gdy już arcydzieło wyszło z pieca i znalazło się w świątecznym ordynku na suto przybranym stole, gdy prosię z jajkiem w zębach poczęło się uśmiechać do olbrzymiej baby, ulukrowanej i ubielonej jak najwykwintniejsza elegantka, znaczyło to, że nadeszła godzina odpoczynku i... migreny i że teraz można już oczekiwać wesołego *Alleluja*, którego tryumf gospodarsko-kuchenny będzie rozkoszą dla języków, podniebień i żołądków.

Tradycya taka święci się jeszcze w niezachwianej okazałości na Starem mieście i na Powiślu, ale co się tyczy dzielnic nowszych miasta, to mam silne podejrzenie, że podtrzymują ją tam cukiernicy, pasztetnicy i inni smakorobowie.

Do niektórych jednak domów ci pracowici fabrykańci wciskają się cichaczem i pociemku, bo tak im zapowiedziano, aby domowa umiejętność i gospodarność na opinii nie poszwankowały. Jeżeli bowiem istota rzeczy bardzo już zwietrzała, to idzie jeszcze o cień... o honor, którego i wtedy jeszcze bronić należy, kiedy już... *„tout est perdu.”* Honor bowiem jest i będzie po wsze czasy najcenniejszym skarbem dla wielu bardzo umysłów, ogołoconych z wielu innych skarbów, o wiele prawdziwszych. Można się o tem przekonać, przysłuchawszy się uważnie najświeższej nowości na warszawskiej scenie. Nosi ona miano „Honor” i jest satyrą... świdrującą w sercach obłudników nawskroś. Obłuda bierze tu cięgi tak bolesne i wszechstronne, że mogłaby po nich drapnąć gdzie pieprz rośnie, gdyby uczciwie umiała dbać o skórę własną.

Suderman, autor sztuki, bardzo śmiało i ryzykownie, a wbrew opinii powszechnej, twierdzi, że honor jest tylko istotnie cieniem, który pada od nas w chwili, gdy nas oświeca szacunek ludzki... Dla tego cienia ludzie karki kręcą, sobie i innym we łby strzelają, wytwarzają różne obowiązki niemające nic wspólnego z moralnością, tworzą prawa, które mają wszelkie pozory nadużycia i gwałtu. Dla tego cienia krzywdziciele wdów i sierot są najpunktualniejszymi płatnikami długów karcianych, oszczercy najprawdomówniejszymi rycerzami w sprawach najdrażliwszych, tchórze odważnymi bojownikami w rzeczach tak zwanej „czci osobistej,” która nie kurczy się wcale, gdy popełnia niegodziwość, ale nie znosi machnięcia rękawiczką przed nosem. Autor niemiecki w sztuce swojej nagromadził takie mnóstwo rysów i szczegółów, ilustrujących kwestyą honoru, że ukazał ją prawie wszechstronnie. Z zestawień i obliczeń wypadło mu jak dwa a dwa cztery, że ludzkości ucywilizowanej na wszelkich szczeblach i stanowiskach wystarczyłby najzupełniej obowiązek i że pojęcia honoru, niesłychanie chwiejne i zmienne, niezmiernie zależne od chwili, pozycyi towarzyskiej, kasty i wartości osobistej jednostek, stanowią tylko potężny środek zacieśniania głów i serc i mącenia stosunków.

Nawiasem dodam, że „Honor” Sudermana w literaturze scenicznej jest zjawiskiem wyjątkowej doniosłości i że wystawienie go na scenie warszawskiej stanowi cyfrę dodatnią w działalności teatru.

Natomiast ujemną jest zejście z widowni literackiej jednego pisma, które żyło krótko, bo tylko lat kilka, celów swoich osiągnąć nie zdołało i straciwszy wiarę w przyszłość, przeszło do krainy pozagrobowej wspomnień. Mówię tu o „Życiu,” co tydzień temu, pożegnawszy nielicznych swoich abonentów, byt swój zakończyło.

Pismo to miało krzewić i umacniać smak dobry i wistocie pierwociny jego istnienia bardzo gorliwie w tym kierunku zdążały. Przeszedł rok zgórą na takiej zaszczytnej pracy, poczem już z prądem złego smaku, bardzo ogólnym, walka stała się niemożliwą. Dla bytu trzeba było zmienić tryb działania, ale przy zmianie racya jego uleciała, „Życie” stało się piątem kołem u woza. A tak szło już tylko ku pochyłości zgubnej, za którą śmierć.

Szkoda, wielka szkoda! Tyle jest czynników krzewienia zgnilizny estetycznej, że ten jeden działacz dodatni mógł był i powinien znajdować poparcie. Pokazuje się jednak, że był dla mas zbytecznym i że miejsca dla niego nie starczyło.

Co miało wpaść w wodę, wpadło i powierzchnia, na chwilę zakłócona, wygładziła się. Taki to już porządek na świecie i na miejscu ubytków ukazują się przybytki, a tak suma ogólna bywa jednaką.

Właśnie o przybytku mówić będę. Wprawdzie niema on żadnej wspólności z „Życiem” i literaturą, a nawet z życiem wogólności naszem, ale jest cyferką dodatnią i w tej chwili dosyć zajmującą.

To *„armonipiano”* pana Hlavacza, to fortepian posiadający mechanizm, obmyślony ku przedłużaniu dźwięków (*prolongement*) i osiąganiu jaknajmożliwszej ekspresyi. Mechanizm ten zależy na listwie z młoteczkami, umieszczonej pod strunami; za naciśnięciem odpowiedniego pedału wprawia się owę listwę w drgania pionowe, niesłychanie szybkie, które ruch struny po uderzeniu klawisza utrwalają. Inny pedał służy do wzmacniania lub zwątlania dźwięków, więc pośrednio do wywoływania ekspresyi. Siłę tonów przedłużonych, akordów bardzo złożonych i pełnych, można tu doprowadzić do *maximum*. Huczą wtedy, jak gromy.

Czy tak udoskonalony fortepian pana Hlavacza popchnie naprzód grę fortepianową, to się dopiero ukaże w przyszłości. Artyści kręcą głowami z powątpiewaniem. Udoskonalenie mechanizmu świetne, zbogacenie instrumentu niewątpliwe, ale skrzywienie techniki dotychczasowej nieuniknione. Przy nabyciu wielu nowych efektów fortepian w dzisiejszym charakterze swoim cofnąć się musi koniecznie, a wprowadzenie czynników dotąd mu obcych i efektów nieprzystępnych ograniczy z pewnością rozwój w kierunku, w jakim się odbywał.

Ze względu na porę, zatrącającą wiosną, choć podmuchami swemi bliższą późnej jesieni, na porę która rozpoczyna wędrówki eksploratacyjne za mieszkaniami letniemi, radbym tu coś pewnego donieść o kolei konnej do Wilanowa. Pewnego jednak niema nic. Wytyka się linią, przygotowuje się budowę, ale ze względu na potrzebę zbudowania kilku mostów, roboty te przygotowawcze uległy na teraz zwłoce. Bowiem na wznoszenie mostów osobnej trzeba sankcyi, a tej dotąd nie wyjednano. Jeżeli się jej nie uzyska jaknaprędzej, kolej do Wilanowa na rok obecny istnieć nie może i słodko marzący Warszawiacy będą musieli poprzestać na dystansie między miastem, a Czerniakowem.

W jednym z listów ciekawa a gospodarna korespondentka zapytuje nas o zaleconą w naszej kronice fabrykacyą jabłeczników, win owocowych i t. d. Radzibyśmy z całego serca odpowiedzieć jaknajsumienniej i jaknajumiejętniej i dlatego prosimy szanowną swoję korespondentkę, aby się udała po właściwe informacye do Towarzystwa ogrodniczego. W sprawie owocarstwa i jego przerobów zarząd tego Stowarzyszenia nigdy nikomu światłej rady nie odmawia...

Maryusz.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Ułożywszy się na łóżku, poczuł, iż osłabienie się zwiększa. Trzeźwił się wodą, choć już ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Bał się, że może umrzeć. Skreślił więc wówczas owę kilkuwierszową kartkę, wyciągając ołówek z kieszonki od kamizelki, której już zapomniał ułożyć na właściwem miejscu. Spoczywała ona na kołdrze, tuż pod opuszczonemi bezwładnie jego rękami. A kreśląc kartkę, łudził się jednak nadzieją: „Chyba jeszcze nie umrę.”

Kobiety, które odstąpiły już były od fatalnych drzwi, wróciły nanowo z przyjściem rewirowego i z otwarciem mieszkania. Zebrało się nawet kilku mężczyzn.

— Biedny radca! — westchnął jeden z sąsiadów, także emeryt, dając nieboszczykowi ten tytuł, przyznawany mu niekiedy w gronie bliższych znajomych, a będący pamiątką dawnej jego służby urzędowej. — Biedny radca! Mieliśmy się zejść jutro na partyjkę u Łopatkiewicza!

Rewirowy kazał zamknąć mieszkanie, polecił czuwać nad niem przybitemu tym wypadkiem Wincentemu, spisał nazwiska świadków, którzy wraz z nim najpierw do mieszkania weszli, i przed udaniem się z raportem do władzy, wstąpił do gospodyni domu. Uważał to za akt osobistej grzeczności, której jednak nie chciał w tym razie zaniedbać.

Pani Kamilla czekała już na niego, pełna niepokoju. Sprawa ta zadługo się ciągnęła, aby głucha wieść o wypadku nie była już do niej doszła za pośrednictwem służby i sąsiadów. Ledwie też rewirowy drzwi od kuchni otworzył, wybiegła z sąsiedniego pokoju:

— Panie, panie łaskawy!—zaczęła zmieszana. — Więc to... to... prawda?

— Tak, tak! — potwierdził rewirowy. — Zmarło się staremu!

Pani Kamilla załamała ręce.

— Bo to możeby jeszcze próbować... możeby trzeźwić...

— Jakże! — odrzucił rewirowy, nadając głosowi swemu jakąś cechę urzędową, nie dozwalającą na żadne pertraktacye. — Przecie zimny, jak lód, a sztywny gorzej drewna! Zmarł, zmarł!

Woczach pani Kamilli zaświeciły łzy.

— Boże, Boże! — rzekła.

Drzwi od pokoju uchyliły się znowu i do kuchni, gdzie odbywała się ta rozmowa, wsunęła się śliczna panienka, ubrana, jak i matka, w ranny szlafroczek, na który, a właściwie na rozplecione do czesania ciemno-blond włosy, narzuciła małą włóczkową chusteczkę. Wyższa od matki prawie o głowę, więcej też gibka, z ruchami łaszącej się kotki, tętniąca młodością i zdrowiem, które przeglądało z niebieskich, uśmiechniętych ocząt, czyniła wrażenie upo-

staciowanego w ludzkiem ciele wiosennego poranku.

— Więc to prawda, mamusiu? — szepnęła cichutko, z żalem, stając poza matką i broniąc się w ten sposób od wzroku gościa, który przynosił tę smutną nowinę.

Pani Kamilla, miast odpowiedzi, poczęła oczy ocierać cienką, batystową chusteczką.

— No, mamusiu! Przecie się to już na nic nie zda! — mówiło dziewczę, pochylając główkę na ramię pani Kamilli i starając się temi słowami łzy jej zażegnać.

Sama nie miała łez w oczach, owszem, z za pleców matki patrzyła z pewną dziecięcą jeszcze ciekawością na gońca tej wieści.

Po chwili jednak, mimowolnie jakoś, wyrwało się z ust dziewczęcia:

— Biedny starowina! Tak go lubiłam!... i on mnie lubił... i tatuś, pamiętam przecie, bardzo go lubił... i Zdziś, ach, Zdziś... Strzelali przecie razem tego lata!

Tyle było powściągliwego, trzeźwego uczucia w tych prostych słowach, że nieboszczykowi mogły one były starczyć za najwspanialszy nekrolog.

Niestety, pan Ignacy Dąbrowski nie mógł już ich słyszeć!

Rewirowy tymczasem, nie biorąc udziału w tej cichej żałobie, która uwidoczniła się tu w łzach matki i słowach córki, począł urzędowym głosem recytować pośpiesznie, co i w jakim stanie znalazł w mieszkaniu nieboszczyka.

Gdy przyszło do opowieści o znalezieniu kartki, pani Kamilla zawołała z zaciekawieniem:

— A! więc jest jakiś testament? Więc biedak wiedział, że umiera?

— Nie jest to testament — odparł gość, — ale zawsze tak, jakby testament.

I spoglądając do swego notatnika, dodał:

— Zapisał wszystko Konradowi Dąbrowskiemu, bratankowi.

Zaledwie ostatnie słowo przebrzmiało, z ust dziewczęcia wyrwał się stłumiony okrzyk:

— Ach, to on!

Trzy te wyrazy zlały się w jedno westchnienie i były wyrzeczone tak cicho, że zaledwie można je było rozeznać. Mimo to, panienka zarumieniła się bardzo i czując potrzebę jakiegokolwiek usprawiedliwienia, poczęła wyraźniej:

— To ten śliczny... to ten młody student — poprawiła czemprędzej — co tu raz był, pytając o pana Dąbrowskiego... A potem, mamusiu, potem przechodził przez podwórze, bo mu pan Dąbrowski kazał zaczekać w swojem mieszkaniu i... i... oglądał się na nasze okna ..

A zawstydzona jeszcze bardziej tem bezładnem objaśnieniem, dodała obojętniej:

— To... to... to z pewnością ten student!

Pani Kamilla spojrzała na córkę zdziwiona.

— Nic mi nie wspominałaś, Maniutko, o tem spotkaniu — odezwała się po francuzku, głosem, w którym obok wrodzonej łagodności, brzmiał przecież odcień lekkiego wyrzutu.

Dziewczyna zaplotła rączki na szyi matki i przytulając rozpaloną główkę do jej twarzy, odparła cichutko:

— Mamusi wtedy nie było w domu... potem zapomniałam jakoś... Zresztą...

Nie dokończyła, rewirowy bowiem przerwał, mówiąc, że musi się śpieszyć.

— Ja tu jeszcze nieraz dziś wrócę — dodał. — A teraz czas mi już w drogę!

Po jego odejściu, pani Kamilla, przeszła do buduaru i zasiadłszy przed toaletą, aby dokończyć przerwanego czesania, odezwała się do córki:

— Nic nie wiedziałam, że Dąbrowski miał krewnych... Przez tyle lat nigdy o nich nie wspomniał.

Maniusia milczała przez chwilę, chodząc po buduarze, jakby starała się zyskać na czasie i zapanować nad sobą.

— I ja też tylko przypadkiem to odkryłam — odezwała się wreszcie, siadając na kozetce, zupełnie już swobodna. — Było to, widzi mamusia, w Czerwcu, gdyśmy się wybierali na letnie mieszkanie... Pan Dąbrowski szukał w kancelaryi tatusia nieboszczyka jakichś papierów i ja mu pomagałam. Naraz ktoś do drzwi zapukał i zanim odezwaliśmy się z czemkolwiek, drzwi się raptownie otwarły i na progu, w czapce studenckiej na głowie, stanął młody człowiek. „Przepraszam stryjaszka — zawołał, — ale dzisiaj jeszcze wyjeżdżam... Chciałem stryja pożegnać...” Za nim stał właśnie Wincenty, który go tu widać przyprowadził, bo mówił: „A ot, pan rządca...” Ale pan Dąbrowski, że to zawsze był mrukliwy, odezwał się gniewnie: „Tu nie moje mieszkanie! Ruszaj na górę i czekaj, a jak ci pilno, to się wynoś na złamanie karku...” Tak powiedział, jak mamusię kocham!

Pani Kamilla, nie przerywając czesania, słuchała z widocznem zaciekawieniem.

— I cóż się stało? — spytała.

— Wtedy dopiero — ciągnęła dalej dziewczyna, otulając się chusteczką, jakby uczuwała chłód na samo wspomnienie tej sceny,—wtedy dopiero, mamusiu, student ten mnie zobaczył... „Przepraszam”— rzekł i cofnął się czemprędzej. Ale nim drzwi za sobą zamknął, pan Dąbrowski zdołał jeszcze zawołać: „A cóż egzamina?” — On więc znów drzwi uchylił i, uśmiechając się, rzekł: „A cóż stryj o tem myśli?...”—„Pewnieś przepadł, ladaco!?”— spytał pan Dąbrowski. On znowu się uśmiechnął, a nawet zaśmiał się wesoło: „Ot, będzie stryj miał niespodziankę — rzekł — bom przeszedł...” I znów, jakby sobie o mnie nanowo przypomniał, ukłonił się, mówiąc: „Przepraszam...”

Zamilkła, a po małej pauzie dodała ze smutkiem:

— I poszedł.

Pani Kamilla, zasłuchana, odwróciła się od toalety i patrząc przenikliwie na powleczone zadumą oblicze córki, odezwała się po chwili:

— Jak ty to dokładnie pamiętasz, moja Maniutko!

Dziewczę znowu zarumieniło się na tę uwagę.

— Bo, bo... widzi mameczka... to było takie... takie... zabawne!

Milczenie zaległo przez chwilę buduar. Słychać niemal było nawet przesuwanie się grzebienia wśród zwojów delikatnych włosów pani Kamilli.

— I nie pytałaś później kiedy pana Dąbrowskiego o tego chłopca? — przemówiła znów matka.

— Pytałam... zaraz pytałam... jak tylko wyszedł. Ale pan Dąbrowski nie chciał o nim mówić... „Ot, ladaco, panno Maryo” — rzekł tylko. Wtedy też i papiery zaraz się znalazły, więc staruszek podziękował mi za pomoc, kazał przeprosić mamę, a raczej zawiadomić, że wziął jakieś stare akta z kancelaryi, i poszedł do siebie. W kwadrans niecały już obaj wracali i wtedy-to on... ten młody... przechodząc przez podwórze, spoglądał wciąż na nasze okna... A staruszek, jakby zły był na niego, mówił coś przez drogę i machał rękami... Oni nie musieli się bardzo lubić, mamusiu — zakończyła, pogrążając się znów w zadumę.

A zaduma ta tym razem naseryo zaniepokoiła panią Kamillę. Wpiąwszy ostatnią szpilkę we włosy i przyjrzawszy się w lustrze swojemu dziełu, podeszła do kozetki, na której siedziała otulona w chusteczkę córka.

— Ależ ty ten zgon naprawdę odczułaś, Maniutko? — rzekła, wpatrując się w twarz dziewczęcia, rumieniącą się i bledniącą naprzemian, widocznie pod wpływem przewijających się przez główkę myśli.

Córka wyciągnęła zpod chusteczki obie dłonie i zaplotła je na ramionach matki, zmuszając ją tym sposobem do zabrania miejsca na tej samej kozetce.

— Maniutko!

Pocałunek dziewczyny był narazie jedyną odpowiedzią na ten serdeczny okrzyk matczynego serca.

— Tak mi go żal, mamusiu! — rzekła wreszcie cichutko, a łzy zamgliły jej niebieskie oczy.

I znów mały buduarek zaległa cisza.

Dopiero po chwili dziewczę, zepsute pieszczotami, a mimo to naturalne i przywykłe do bezgranicznej szczerości, kryjąc twarz na piersiach matki, odezwało się zcicha:

— Ale on... ten student... ten krewny pana Dąbrowskiego... on tu teraz przyjść musi, prawda?

I zanim pani Kamilla mogła cośkolwiek odpowiedzieć, Maniutka zawołała jeszcze:

— Żeby mamusia wiedziała, jaki on śliczny, jaki śliczny!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY.

W niedzielę ubiegłą pan Edmund Jankowski, redaktor „Ogrodnika polskiego,” wygłosił pierwszy z zapowiedzianych na dochód Osad rolnych odczytów „O kwiatach pokojowych.” Tłumnie zebrana publiczność owacyjnie przywitała mówcę i pożegnała też wielkiemi salwami oklasków. I było za co, bo szanowny prelegent mówił pięknie, *kwieciście* i barwnie; niewątpliwie potrafił szczerze zainteresować wszystkich. Wielkiego jednak błędu w układzie dopuścił się, według mnie, prelegent, mówiąc na końcu o tem, co powinnoby było znajdować się na wstępie; słuchaczki zapewne jeszcze z większym skupieniemby słuchały. Pan Jankowski opowiedział o jednym ze swoich przyjaciół, który, poszukując żony, przedewszystkiem patrzył na stan kwiatów w mieszkaniu, był bowiem zdania, że kobieta, co potrafi nie dać roślinie ani zwiędnąć, ani zgnić, ani stać się pastwą owadów, co nie zapomni obrócić jej kilkakrotnie chociażby, aby się cała w promieniach słońca skąpała, co nie zniesie na niej suchego listka, potrafi zarazem ludźmi się opiekować.

Przystąpmy jednak wraz z prelegentem do rzeczy. Że widok roślinności raduje serca, najlepszym tego dowodem jest uczucie, z którem witamy pierwiosnki i fijołki, a nawet pierwsze wiosenne źdźbełka traw, nie każdy zaś jest szczęśliwym posiadaczem ogrodu, szczególniej w zimie. Trafnie też obalił mówca zarzuty hygienistów przeciw pielęgnowaniu w mieszkaniach tych, po kobietach najpiękniejszych, tworów Bożych (pan Jankowski tak jakoś o tem powiedział, jak gdyby nawet na korzyść kobiet i dzieci z pierwszeństwa kwiatów abdykować nie chciał).

Żeby rośliny nie okradały ludzi ze światła, dość jest nie zastawiać niemi wszystkich okien, oddając ich panowaniu jedno (lub dwa, zależnie od wielkości mieszkania i amatorstwa) i zmieniając je wmiarę możności w rodzaj szafy oszklonej, wystającej, jeśli stać amatora na łamanie lub odpowiednie przystosowywanie murów, nazewnątrz. Taką szafę możnaby na noc zamykać, przeszkadzając w ten sposób wydzielanemu przez rośliny kwasowi węglanemu wytwarzać zaduch w mieszkaniu. W każdym jednak razie, według zdania pana Jankowskiego, ten drugi zarzut upaść musi ze względu na to, że wydzielając wciągu dnia tlen rośliny, najzupełniej poprawiają to, co w nocy zbroiły.

Aby znów rośliny nie zawilgocały mieszkania, trzeba, żeby doniczka każda opatrzona była podstawką, lub żeby wszystkie rośliny miały jeden duży blaszany basen, w kształcie żardynierki, opatrzony udołu kranem do spuszczania ściekającej przez dolne otwory doniczek wody. Wszystkie rośliny, nie rozrzucając ich po wszystkich pokojach i kątach, należy trzymać razem w jednem miejscu, na takiej właśnie żardynierce lub w szafie.

Co się zaś tyczy tej wilgoci, którą rośliny wydają z oddechem, to jest ona najzupełniej pożyteczna dla ludzi, szczególnie zaś w zimie, kiedy palenie w piecach i dłuższe palenie lamp wysusza w bardzo szkodliwy dla zdrowia sposób powietrze pokojowe.

Prelegent nie zapomniał ostrzedz obdarzonych wysoko rozwiniętem poczuciem estetycznem pań, o wszelkiego rodzaju doniczkach niezwykłych, zalecając używać jedynie opatrzonych otworami udołu, najprostszych, z gliny palonej i to niepolewanej ani wewnątrz, ani zewnątrz. Korzenie rośliny szukają powietrza i dlatego wszystkie zawsze wychodzą ku obwodowi; glina palona przepuszcza je właśnie.

Najgroźniejszym, a zawsze niemal zwycięzkim wrogiem roślin w mieszkaniu jest gaz. Gdzie on się pali, tam dla dziatwy Flory „niema nadziei," wypala on bowiem tlen w powietrzu, wytwarza rozmaitemi wyziewami szkodliwy zaduch, skutkiem też jego bywa wysoka temperatura, drugi wróg roślin, nasyłający na nie owady, od których starannie oczyszczać je trzeba. Wogóle pan Jankowski jest zdania, że niebezpieczniejszą jest daleko dla kwiatów zbyt wysoka, aniżeli zbyt nizka temperatura. Zabezpieczyć się od trzeciego ich wroga, kurzu, można czystością przedewszystkiem w mieszkaniu, częstem przewietrzaniem, a wreszcie myciem roślin zapomocą miękkiej gąbki letnią wodą przynajmniej cotydzień.

Skończywszy z wrogami, przystąpmy do tego, czego kwiaty niezbędnie potrzebują. Przedewszystkiem światła. Celują pod względem wygórowanych w tym względzie wymagań rośliny, które ojczyzna darzyła nieustannie ognistemi potokami promieni boskiego słońca. Czyż nie na każdym kroku więdną tak samo ludzkie kwiaty, nawykłe od dzieciństwa do światła i ciepła miłości, a które życie próbuje darzyć następnie mrokiem i chłodem? Do takich wymagających kobiet wśród roślin należą obdarzone liśćmi miękkiemi, kosmatemi i kolorowemi, kobietą zaś *par excellence* jest bluszcz, który gotów jest wić się, zielenić i rozweselać nawet ciemne zakątki.

Można z niego nawet tworzyć rozmaite girlandy, festony, ramy do luster i obrazów, a to puszczając kilka łodyg z pozawieszanych odpowiednio doniczek.

Dalej paprocie, które w naturze szukają cienia lasów, rośliny iglaste, draceny i t. d.

W mocy dyletantów nie jest przysposabiać ziemię najzupełniej odpowiednią dla wszystkich roślin, z których jedna rośnie na skałach górskich, a druga w bagnistych dolinach, mogą oni jednak odnawiać powoli ziemię w doniczkach przez zeskrobywanie i dosypywanie i nawozić ją chociażby opiłkami rogowemi.

Teraz przystąpimy do rzeczy, o którą najwięcej dobrych chęci amatorek kwiatów pokojowych się rozbija, do polewania. Przedewszystkiem jak poznać, czy doniczka dość czy niedość wody wypiła? Najpraktyczniejszy sposób: wciśnij piękny swój paluszek, czytelniczko, w ziemię, z której soki życia czerpie twa siostrzyca, ustrojona przez najlepszą modniarkę (adres jej podawać byłoby krzywdę czynić pismu). Kolor ziemi, jaśniejszej lub ciemniejszej często od natury, łatwo może w błąd wprowadzić, zaś ostukiwanie doniczki wymaga wprawy. Do polewania najstosowniejszą porą jest ranek, lub wreszcie czas przed wieczorem; do zraszania tylko ranek.

Należy przytem zwracać uwagę na to, czy woda ścieka przez dolny otwór, zdarza się bowiem, że obficie nalanej wody zeschła ziemia nie przepuszcza do wnętrza. Wyższa temperatura ogólnie potrzebuje obfitszego stosunkowo polewania. Następnie roślina rosnąca i rozwijająca się więcej potrzebuje wody. Jeśli zeschła ziemia wskazuje, że polać czas, to znów rozrastanie się grzybków lub mchu na niej dowodzą, że trzeba roślinę trochę wysuszyć.

Dalej rośliny różnych rodzajów różne mają co do ilości wody wymagania. Skórkowate, o liściach tęgich, mniej sobie z polewania robią. Te, których ojczyzną są strefy gorące, miejscowości mało zasilane deszczem, które wypuszczają nawet powietrzne do picia wilgoci korzonki, bardzo długi często czas mogą się bez wody obchodzić.

Wiele wody potrzebują cebulkowate; dobrze jest, żeby podczas wzrastania miały one ciągle trochę wody na podstawce. Obfitego też i częstego polewania potrzebują begonie, pelargonie (angielska) i wreszcie bluszcz, któremu nic starannego pielęgnowania w tym względzie nie zastąpi, nie ma on bowiem łez, jak kobieta: rośliny płaczą tylko łzami nieba, rosą.

Jeśli tylko roślina żółknie i więdnie, należy ją przesadzić, bez względu na porę roku. Lepiej jest jednak zaufać w tym względzie wytrawnemu i sumiennemu ogrodnikowi, gdyż robota ta wymaga pewnej wiedzy, wprawy i staranności. Rozprowadzać rośliny w domu albo jest bardzo trudno, lub się nie opłaci, kupować zaś najlepiej w drugiej połowie lata; roślina wówczas ma dość czasu do przywykania stopniowego do nowych, nie do jej istnienia wyłącznie przystosowanych warunków bytu.

Nie radzi też prelegent rzucać się koniecznie na rzadkie i trudne do chowu kwiaty i rośliny. Lepiej jest mieć piękne i zdrowe pelargonie, begonie, mirty, bluszcze, fuksye, niż wycieńczone i konające kaleki azalie, rododendrony i palmy. Przy wyborze należy się liczyć z siłami i możliwemi do zaofiarowania kwiatom warunkami bytu w nowem ich mieszkaniu.

Gdybym potrzebował streścić odczyt pana Jankowskiego w kilku słowach, powiedziałbym: „kochaj kwiaty i umiej się z niemi obchodzić."

Ciekaw jestem wielce, co należy myśleć o owym przyjacielu wymownego prelegenta?...

J. N.

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Pomiędzy listami, nadesłanemi do redakcyi naszej, znalazł się jeden, którego autorka tryumfalnie wygłasza następujące słowa: „Pełno ich (kobiet) wszędzie i na wszystkich szczeblach pracy. W każdym sklepie, w każdym kantorze, w każdem biurze spotyka się dzisiaj pracownice, bez których już obywać się na przyszłość nie byłoby możliwem..." „Są tacy, co z zawiścią patrzą na to, jak mówią, *wciskanie się*, ale trzeba się pogodzić z faktem dokonanym: tak być musi i to się już nie odstanie!"

Bardzo byłoby to pięknie, gdyby to wszystko przyszło naturalną rzeczy koleją, ale tak, niestety, nie jest. Kiedy mężczyzna zostaje lekarzem lub artystą, uczonym albo kupcem, rolnikiem czy rzemieślnikiem, przygotowuje się do przyszłego zawodu długo i mozolnie, a w wielu razach nie bez dobrowolnego wyboru, dla którego fundamentem było zamiłowanie.

Ale kiedy kobieta siedzi za kantorkiem w cukierni jako kasyerka, w biurze jako ekspedytorka, w handlu jako sklepowa... doprawdy, czyni to chyba tylko dla chleba i bez wyboru, bez powołania i zamiłowania. Pracuje, aby żyć, bo do pracy zmusza ją pozycya towarzyska i rodzinna, pracuje na siebie, często na dzieci swoje i na rodzinę, nie zaś dlatego, aby praca była celem życia i potrzebą człowieczeństwa.

Z całej masy kobiet w Warszawie nie potrafionoby niezawodnie wskazać wyjątków dziesięciu, które pracują przez miłość dla pracy, nie potrzebując zarobku.

Potrzeba ta zresztą w niczem nie umniejsza wartości moralnej pracy kobiet. Jest ona z ich strony w wielu bardzo przypadkach szczytną ofiarą poświęcenia, ale wynika nie z jakiejś ogólnie postawionej i przyjętej zasady, lecz z konieczności gniotącej jednostkę.

Możność też „wciskania się" na rozmaite stanowiska nie jest bynajmniej symptomem upoważniającym do tryumfalnych frazesów; możność ta jest poprostu tylko następstwem upadku ekonomicznego, który sprawia, iż droższą pracę mężczyzny zastępuje tańsza praca kobiety. Wszystkie też, które pracują i zarabiają, wiedzą o tem doskonale, iż są *wyzyskiwane*. Płaci się im za ich robotę źle, dyktuje się im obowiązki często nad siły, ale bardzo rzadko kiedy wymaga się od nich przygotowań specyalnych. I są też dzisiaj buchalterki bez znajomości buchalteryi, kasyerki bez umiejętności liczenia, korespondentki które pisać nie umieją, sklepowe które o handlu nie słyszały nic w żadnej szkole. Jest tedy proletaryat pracy niewieściej, nieprzygotowany, nieuzdolniony, niewykwalifikowany, choć zapracowany uczciwie i nieuczciwie wyzyskiwany.

Jesteśmy zupełnie pewni, że gdyby pozycya tych mozolących się robotnic poprawiła się majątkowo, wszystkie one cofnęłyby się do zacisza domowego, do najmilszej dla siebie i najwłaściwszej pracy dla rodziny i w rodzinie. Wówczas prysłoby dzisiejsze złudzenie emancypacyi i postępu, które tak fałszywie okrywa pozorami sprawę ciężką i smutną. Och, bardzo smutną!

Widzieliśmy jednę z takich pracownic w chwili, w której duszą i sercem nie mogła być przy odrabianej czynności. Po bladej twarzy spływały jej

łzy niepokoju i trwogi, godziny i minuty wlokły się dla niej jak wieczność, która się nigdy kończyć nie ma.

To była matka, która dla zarobku porzucić musiała chore dziecię, bez opieki, bez czujnego a życzliwego oka. Praca jej była straszliwem jarzmem, dźwiganem z rozpaczą. Były to kajdany, krępujące jej macierzyńskie serce bez litości i zmiłowania.

Mężczyźni bywają także w położeniach podobnych, ale mężczyźni przygotowują się do nich i nie bywają odrywani od spraw dla siebie najważniejszych przez konieczność ostateczną. Dla nich praca bywa bardzo często rozkoszą, zaspokojeniem powołania, drogą do sławy, do zasługi, do majątku, środkiem zdobycia niezależności ukochanym... Kobieta-pracownica w warunkach obecnych nie posiada ani jednej z tych pociech. Wie, że jest źle płatną, że stanowi w szeregach roboczych *malum necessarium*, że znajduje się w nich tylko zastępczo, że każde jutro jej jest niepewne, że po dniem dzisiejszym niema dla niej widoków na przyszłość, że pierwsza lepsza niemoc odbierze jej wszystko, że najmniejszy sił upadek usunie jej grunt pod nogami. A dlatego los tych dzisiejszych kasyerek, ekspedytorek, buchalterek, sklepowych i t. d., jest niepewny i nad wyraz smutny, jak smutną jest wszelka nietrwałość i wszystko to, co chwiać się musi na wietrze, jak wątła trzcina.

Mówiąc to wszystko, dajemy tylko wierny wizerunek rzeczywistości, nie czynimy tego jednak w zamiarze zniechęcenia kobiet do pracy i zarobku. Chcemy tylko odmalowaniem prawdy ostudzić zbyteczny i pod wielu względami szkodliwy zapał tych, które, jak wspomniana na początku korespondentka nasza, wykrzykują zwycięzko: „Są tacy, co z zawiścią patrzą na to... ale tak być musi i to się już nie odstanie!"

Niema ojca rodziny, któryby nie zadrżał z bólu i trwogi na myśl, że jego ukochane dziecię będzie kiedyś ślęczało w zimnym, ciemnym kącie jakiegoś sklepu w charakterze *niby* kasyerki, lub buchalterki. Niema takiego męża (oczywiście uczciwego i rozumnego), któryby ze ściśniętem sercem nie żegnał żony, odchodzącej na ciężki zarobek.

Niema wreszcie i takiego człowieka, rozumiejącego rzeczywistość, któryby bez żalu i politowania nie pomyślał o tłumach kobiet, więdnących i schnących w trudzie, w wyzysku, ujarzmionych pracą bez celu, zamiłowania i powołania. Nie zawiść to mężczyzn, która każe im się odzywać z niechęcią o pracy kobiet, ale żal, żal szczery i głęboki, że ich własne ramiona nie wystarczają do podźwignięcia wszystkich ciężarów rodzinnych.

Taka to jest właściwie odwrotna strona medalu, w wyobraźni szlachetnych entuzyastek błyszczącego tak świetnie. Gniotąca konieczność ekonomiczna nie powinna być powodem do tryumfowania, które naprawdę nie ma racyi. Dopóki bowiem kobiety od lat najwcześniejszych nie będą szły za głosem powołania i nie będą przygotowywały się systematycznie do przyszłych zawodów, dopóty cieszyć się nie należy. Przypadkowe *robotnictwo*, spowodowane potrzebą, dalekie od jakiejś specyalności, nieprzystępne dla wyboru dobrowolnego, to jeszcze nie praca, nie postęp i nie zwycięztwo. W tych najrozliczniejszych robotach, które dzisiaj uprawiają kobiety, niema nic, coby pozwalało spożytkować ich wrodzone i osobiste zdolności, coby zadowalało instynkta umysłu, coby kobiecym myślom i sercom rozwijać się i mężnieć pozwalało. Mdleją ręce od pracy, tępieją mózgi od machinalnego wyrobku, schną serca od gnębiącej nudy i wysiłku, ale to wszystko nie prowadzi naprzód i cieszyć się rozsądnie nie pozwala.

K.

Nagoda.

ZA CZARNE OCZY.

NOWELA.

(Dalszy ciąg.)

Trzy długie miesiące ostrych mrozów i śnieżnych zawiei upłynęły jak jeden pogodny dzień wiosenny dla młodych małżonków. Pani Ewa miała nieustannie uśmiech na ustach i od rana do wieczora szczebiocąc i podśpiewując, jak ptaszek w klatce, kręciła się po maleńkich, ale ślicznie urządzonych pokoikach swojej willi. Mąż patrzył na nią z zachwytem i od czasu do czasu pocałunkiem lub słodkiem słówkiem podsycał te uśmiechy i szczebioty. Czasem, rzadko bardzo, ona dla rozmaitości zabierała się do gospodarstwa, dzwoniąc kluczykami i przymierzając dziesięć rozmaitych fartuszków, on zaś otwierał poważne dzieło ekonomiczne, albo też rachunki z gospodarstwa w Wołczowej; ale praca mu nie szła, ledwie przeliczył jedną kolumnę cyfr, już Ewa odwoływała go, szukając jego pomocy, bez której się ani chwili obyć nie mogła.

Szarą godziną wesołe dźwięki walca rozlegały się w mieszkaniu. Ewa, uderzając w klawisze, dopomagała sobie nuceniem, a Mieczysław siadywał na nizkiej kanapce obok fortepianu i widocznie muzyka, czy może tajemniczy mrok, zapełniający pokój, najpoważniej go usposabiały, bo czasem, zamiast wtórować żonie w śpiewie, opierał głowę na ręku i zamyślał się.

O czem?... Ewa pytała go o to kilka razy, ale jej nie odpowiedział.

Ona też nie nalegała; wiedziała przecież, że nie mógł myśleć o czem innem, jak o swej ślicznej żonie i o wspólnem, niezmiernem szczęściu. Wszak ona sama chwilami ledwie zmieścić mogła w sercu cały ogrom przepełniającego ją uczucia niewysłowionej radości, które od trzech miesięcy gościło w jej piersi i miało już tam pozostać przez całe długie życie.

Nareszcie pewnego rana słońce rzuciło złote blaski do tego przybytku szczęścia, który nawet bez słonecznych promieni był istnym rajem. Ewa zerwała się od śniadania i z dziecinną radością zaczęła tańczyć po pokoju, klaszcząc w ręce i nucąc wesoło:

— Wiosna! wiosna! pójdziemy na spacer! dobrze Mieciu? pójdziemy piechotą, ja w zielonym kostiumie, a ty w jasnym paltocie... na spacer, na spacer!

— I owszem, dziecko! idźmy, choćby zaraz jestem na twoje rozkazy.

— O przepraszam, nie zaraz! ja się przecie muszę ubrać. Czy sądzisz, że to pójdzie tak prędko ubrać się w wiosenny kostium, którego jeszcze ani razu nie miałam na sobie?

— Może ci pomódz?

— Ślicznie dziękuję! już ja wolę pomoc Teofili; ty siedź spokojnie i czytaj sobie gazety, dopóki, stanąwszy przed tobą, nie powiem: patrz i uwielbiaj.

— Ten dodatek niepotrzebny; znam przecież swoje obowiązki i od rana do wieczora tylko uwielbiam. Tembardziej też, gdy zobaczę cię w wiosennym kostiumie.

— Proszę nie żartować; kostium prześliczny! cała spódnica z pluszu.

— Więc będę oczarowany!

* * *

Pan Mieczysław dotrzymał obietnicy: był zachwycony kostiumem, kapeluszem i uśmiechającą się zpod szerokiego ronda różową twarzyczką.

Spacer udał się im wybornie. Spotkali mnóstwo znajomych; nieznajomi oglądali się za nimi, mówiąc: co za śliczna para! Wstąpili do cukierni, gdzie hrabina Melania „zrobiła im miejsce" przy swoim stoliku i na pożegnanie rzekła Ewie: Jak pani teraz ślicznie wygląda!... le bonheur vous va!

Nareszcie byli już na swojej ulicy; zgiełk i turkot powozów pozostały za nimi w środku miasta. Ewa, upojona wiosennem powietrzem, szła powoli, zwierzając się mężowi z planami wycieczek i spacerów, jakie umyśliła sobie odbyć przed wyjazdem na wieś.

Naprzeciw nich szły dwie kobiety, prowadzące się także pod rękę, ale nie tak strojne i świetne, jak pani Ewa. Starsza z tych kobiet miała twarz zwiędłą i pomarszczoną, ramiona jej pochylone i wzrok przykuty do ziemi nadawały jej postaci wymowny wyraz przygnębienia. Młodsza, wysoka, szczupła, ubrana bardzo skromnie, postępowała z głową wzniesioną dogóry, z oczyma zwróconemi wprost przed siebie, jak gdyby ścigała jakiś oddalony przedmiot.

Gdy się obie te pary mijały, Ewa zauważyła, że podniesiona dogóry główka i blada twarz młodej dziewczyny miały zarys dziwnie szlachetny, a ogromne czarne oczy, utkwione z takiem natężeniem w punkt jeden, ocienione były długiemi ciemnemi rzęsami i łukiem brwi, w których pędzel najklasyczniejszego malarza nie znalazłby nic do poprawienia.

Mieczysław musiał zauważyć to samo, bo obejrzał się za przechodzącemi z wielkiem zajęciem.

— Kto to taki?... Czy je znasz może? — spytała skwapliwie Ewa.

— Nie; zkądżeby?... Widzę je po raz pierwszy.

— Ładna, nieprawdaż?...

— Być może. Nie zauważyłem.

Pani Ewa była z tej odpowiedzi niezbyt zadowolona.

— Nie zauważył, doprawdy?... a przecież oglądał się jakby coś najciekawszego zobaczył. Mężczyznom się zdaje, że kobiety nic nie widzą i nie uważają.

* * *

Po obiedzie dnia tego Ewa, znużona długą przechadzką, zasnęła na kanapce, dziennik trzymany w ręku upadł na ziemię, a głowa w malowniczy sposób oparła się na ciemno-zielonych pluszowych poduszkach. Mieczysław przypatrywał jej się chwilę z tkliwym uśmiechem, wreszcie podniósł dziennik, złożył go cichutko i na palcach wysunął się z pokoju.

Ewa spała długo, zbudził ją promień zachodzącego słońca, który, przekradłszy się przez firanki, złoty i ciepły położył się na jej powiekach. Zerwała się, jakby się czem przelękła; w całym domu pa-

nowała tak niezwykła cisza; gdzież Miecio? czyżby wyszedł i zostawił ją samę?

Nie, otóż jest! siedzi przy swojem biurku pochylony nad książką i tak zaczytany, że nie słyszy lekkich kroków żony zbliżającej się do niego. Ach! — wydał lekki okrzyk przestrachu, bo nagle książka znikła mu zprzed oczu, a zamiast niej czuje na powiekach i czole dotknięcie miękkich paluszków.

— Czy to ładnie pozwolić mi przespać taki śliczny dzień Boży?... Mieliśmy przecie wyjechać do ogrodu... a tymczasem ja spałam, a ty nudziłeś się tutaj!

— O, ja... nie... to jest... czytałem sobie trochę...

— A jaką to książkę mój pan tak studyował? Proszę mi pokazać... Może co niestosownego?...

Mieczysław lekko przytrzymał książkę.

— Po niemiecku, nie zrozumiesz—odparł z odrobiną niezadowolenia w głosie.

— Jakto? ja nie zrozumiem po niemiecku? Czyż nie wiesz, że skończyłam celująco ósmą klasę u pani Z.? Ja nie zrozumiem!

Śmiejąca się wpół, a wpół obrażona, wyciągnęła mu z ręki książkę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zakład Świętej Marty.

Z początkiem drugiej połowy bieżącego stulecia, w wyobrażeniach inteligentniejszych warstw społeczeństwa naszego obudził się pewien zwrot pod względem zapatrywania się na prace rękodzielnicze.

Gdy bowiem przedtem, zwłaszcza dla piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego, jakiekolwiek rzemiosło, albo zarobkowanie pracą rąk, uważanem było niemal za uwłaczające godności osobistej córek obywateli i urzędników, gdy zasada, iż szkoda wykształcenia naukowego na to, aby zostać rzemieślnikiem lub szwaczką, należała do artykułów wiary— potrzeba było zaledwie lat paru, aby pojęcia te, bez żadnych nawoływań, tak dalece się zmieniły, iż prace ręczne zaczęły być szanowane, a nietylko młodzież płci obojej, lecz nawet mężatki i wdowy, dla zabezpieczenia sobie na wszelki wypadek bytu, garnąć się do nich poczęły.

Bezczynne więc dotychczas panie i panny nasze, w drobnych i delikatnych rączkach których można było widzieć tylko zwykle książkę do czytania, a rzadko bardzo krosienka, zwróciły się ku pracy ręcznej i zapragnęły uczyć się szycia bielizny, rękawiczek, roboty kwiatów sztucznych, oraz sukien i strojów.

Na zawadzie w tem stała wszakże jedna dość ważna okoliczność.

Poziom umysłowy i moralny ówczesnych szwaczek i kwiaciarek był tak nizki, że zwłaszcza dla młodych dobrze wychowanych panienek, pragnących w pracy rąk znaleźć dla siebie sposób zarobkowania, łączenie się z tą klasą przy wspólnej nauce było nie już nieodpowiedniem, ale wprost niemożebnem.

Obmyślenie przeto środka umożliwiającego naukę robót ręcznych dla panienek z niezamożnych a zacnych domów stało się kwestyą czasu, kwestyą ważną i niecierpiącą zwłoki.

Wówczas to, dama wielkiego umysłu i serca, niezapomnianej nigdy pamięci hr. Hortensya Małachowska, celem przyjścia z pomocą osobom płci żeńskiej, pragnącym uczyć się robót ręcznych, a mianowicie szycia bielizny, haftów i t. p. oraz szukającym i potrzebującym zarobku, wyjednała u ówczesnych władz krajowych pozwolenie na urządzenie i otworzenie pracowni dla kobiet pod nazwą „Ś-tej Marty."

Prawdziwie dobroczynny i pożyteczny ten zakład otworzony został z decyzyi Namiestnika Królestwa w początku roku 1854, kosztem fundatorek, do grona których, oprócz głównej inicyatorki i założycielki, weszły panie: ks. Czetwertyńska, ks. Gorczakow, Hołowińska, Halpertowa, hr. Kossakowska, Karwicka Celina, hr. Krasińska Adamowa, hr. Krasińska Karolowa, Kochańska doktorowa, Lasocka, Makomaska, hr. Potocka Augustowa, hr. Potocka Maurycowa, hr. Potocka Stanisławowa, hr. Przeździecka, Pusłowska Julia, ks. Radziwiłłowa Michałowa, Rastawiecka, Rawiczowa, Rembielińska, hr. Rzewuska Taida, hr. Stadnicka, hr. Szembekowa, Sobańska, ks. Woroniecka, hr. Walewska, Wojciechowska, Zacharkiewiczowa i Zawiszyna. Panie te złożyły komitet zarządzający tą nową instytucyą.

Z ofiar składanych przez wymienione wyżej opiekunki, sprawiono wszystkie potrzebne meble i przyrządy, wynajęto i w odpowiedni sposób urządzono lokal i niebawem zakład zapełnił się żądnemi nauczenia się praktycznych robót dziewczątkami od lat 10 wieku, oraz panienkami dorosłemi i wogóle kobietami poszukującemi środków utrzymania w uczciwej pracy, w liczbie dochodzącej do pięćdziesięciu osób.

Czas pracy oznaczono od godziny 8 rano do 6 wieczorem, z pauzą jednogodzinną od 12 do 1 w południe. Nauka robót, pod ciągłym i bezpośrednim nadzorem przełożonej zakładu, była od samego początku, jak również i dotychczas jest bezpłatną, uczennice zaś bez żadnego ograniczenia terminu, skoro tylko okażą dostateczne uzdolnienie w robocie, pobierają zapłatę, która pierwotnie wynosiła od rs. 6 do 9 miesięcznie, w następstwie zaś zwiększaną była stopniowo o tyle, iż zarobek stałych pracownic wynosi obecnie od 10 do 25 rubli miesięcznie.

Komitet pań trwał blizko lat 10, a wciągu tego okresu, oprócz nieustannej opieki nad pracownicami, wrazie choroby lub jakiego innego wypadku i niepowodzenia, przychodził im zawsze z pomocą przez udzielanie odpowiednich zasiłków.

Z upływem jednak czasu, gdy zakład wzniósł się o tyle, że mógł już istnieć o własnych siłach, a ofiary pieniężne opiekunek stały się niepotrzebnemi, składki ustały i tym sposobem wszelkie wydatki na utrzymanie zakładu, załatwianemi być zaczęły z wpływów, za uskutecznione roboty pobieranych.

Z chwilą rozwiązania się komitetu pań, całkowita opieka nad instytucyą pozostała w rękach hr. Hortensyi Małachowskiej i hr. Augustowej Potockiej, po śmierci zaś nieodżałowanej założycielki i protektorki rzeczonej instytucyi, hr. Małachowskiej, miejsce jej zajęła p. Marya z hr. de Broel-Platerów ks. Czetwertyńska Stanisława.

Pierwszą przełożoną zakładu w latach 1884 i 1885 była p. Krzywicka, następnie przez lat 8 obowiązki przełożonej sprawowała p. Wiktorya Trzcińska, od roku zaś 1863 do dnia dzisiejszego przez lat 28 stanowisko to zajmuje p. Marya Górska, pod kierunkiem której ta wielce pożyteczna instytucya stała się rzeczywiście wzorem dla innych tego rodzaju zakładów, a w okresie całkowitej 38-letniej swej działalności wykształciła w pracach ręcznych około 2,000 kobiet.

Specyalnością zakładu jest szycie bielizny damskiej i mężkiej, wykończanie całkowitych wypraw, znaczenie bielizny, wszelkiego rodzaju hafty, tak zwyczajne, jak również pelami, złotem i srebrem, na płótnie, batyście, atłasie i aksamicie, wreszcie ubiory kościelne.

Zakład przyjmuje do wykonania roboty w zakres wymienionych prac wchodzące, wykończa je na miejscu, lub też oddaje stałym swoim pracownicom do domów. Z pobranych należności reguluje ceny pracy tak, iż po opłaceniu kniecznych, a w każdym razie bardzo umiarkowanych wydatków, wypłata za samę robociznę wynosi około 1000 rubli tygodniowo, pozostająca zaś z roku na rok superata nie przenosi nigdy 200 rubli.

Dodać tu należy, iż mylnem jest zdanie, jakoby zakład przyjmował tylko znaczniejsze zamówienia robót, przeciwnie bowiem, stara się zadość czynić wszystkim bez wyjątku najmniejszym zapotrzebowaniom publiczności i wykonywa wszelkie najtańsze nawet roboty.

Prace pochodzące z zakładu Ś-tej Marty dokładnem i pięknem wykończeniem zwróciły na siebie uwagę na wystawie robót kobiecych w Glasgowie, oraz na dwóch takichże wystawach w Warszawie, za co nagrodzone zostały dwoma złotemi medalami i listem pochwalnym, pozyskawszy nadto liczne od zwiedzających te wystawy zamówienia.

B. A. Grab.



Pan Bronisław Grabowski, autor wielu utworów literackich i scenicznych, wydał świeżo, nakładem Wł. L. Anczyca i spółki w Krakowie, dramat pięcioaktowy z prologiem, p. t. „Boruta." Rzecz osnuta na podaniu znanem o dyable, który pod tą nazwą miał ongi siedzieć w lochach zamku łęczyckiego i o którym miejscowa tradycya opowiada wiele ucieszných bajek. Boruta oczywiście jest dyabłem pojętym na sposób miejscowy: rąbie się na zawołanie, krzyczy, hałasuje, do awantury pochopny, a pije jak smok, nie już garncowym roztruhanem, ale calusieńką beczką. Kiedy się ludzie dziwią jego gardłu, gotów jest eksperyment powtórzyć wnet, na zasadzie *bis repetita placet*. Jest, ma się rozumieć, karmazynem, a w lochach swoich przewala się na worach złota pełnych, przy chórze puszczyków, sów, nietoperzy i zaświatowych tanecznic, które na jedno jego skinienie wyłażą zpod ziemi do wesołego korowodu.

Treść dramatu polega na tem, że szlachcic łęczycki, Łoński, wielki, z przeproszeniem, nicpoń i golec, zakochał się na umór w pannie skarbnikównie. Ojciec go rekuzą poczęstował i za kogo innego wydać umyślił, a odpalony konkurent z rozpaczy z Borutą się pokumał, duszę piekłu zaprzedał i na bogatego wyszedł pana przy pomocy skarbów z lochu zamkowego. Dyabli go potem zabrali jak swego, prochy w zamku podpaliła opuszczona przezeń kochanka i wszystko w powietrze wyleciało, a kto